

## ROZDZIAŁ XI COMBAT 56 - BEZ IDEOLOGII

### 1. Skuteczne narzędzie pracy

#### Czegoś brakowało

Kups powtarzał niejednokrotnie: Jeśli chcę zgasić światło, nie miotam się jak szalony, nie tłukę żarówki, nie wrywam kabli ze ściany, po prostu spokojnie sięgam do przycisku i wyłączam zasilanie.

W Dziwnowie, gdy przyszedł do batalionu, z walką wręcz wiązała się dość wstydliva historia, opowiadana jeszcze przez pewien czas cichcem. Otóż, gdzieś tam w latach siedemdziesiątych, jeden z oficerów powrócił ze Związku Radzieckiego, po trzymiesięcznym szkoleniu w tamtejszej odmianie walki wręcz zwanej sambo. Z niecierpliwością oczekiwano prezentacji morderczych technik, stosowanych przez twardzieli ze Specnazu. Na hali sportowej zebrał się tłumek komandosów, grono szkoleniowców, oraz przedstawiciele dowództwa. Po krótkim, żołnierskim wstępie, kapitan podał komendę jednemu z żołnierzy: Szeregowy, wystąp! Macie tu kij i uderzcie mnie w głowę z całej siły. Chłopak wziął w dwie ręce solidną pałę ale jakoś niesporo było mu przyłać facetowi z gwiazdkami na pagonach. Z drugiej strony, okazja jakich mało... Kapitan ustawił się na prawą a szwejk, niewiele myśląc, przełożył kij i jak mu nie sypnie z lewej. Pech chciał, że był mańkutem. Oficer padł, krew się połała a komandosa ukarali.

Arek wspomina swoich pierwszych nauczycieli walki: - Łapaliśmy kontakty z wieloma szkołami i stylami, w kompanii przez wiele lat kierowano się jednocześnie w różne strony. Starzy instruktorzy trzymali się Kyoksulu, którego nauczył ich Komura, oficer armii północnokoreańskiej przebywający w Polsce na początku lat 80-tych. Mieliśmy również szczęście do ludzi przychodzących z dorobkiem z cywila, z shotokanu, kyokushinkai, tsunami i innych szkół. Wcześniej, udało mi się wiele skorzystać z nauki Viet voo dao, od Wietnamczyków masowo studiujących w tamtych czasach na Politechnice Gdańskiej. Tak naprawdę, walką wręcz zachłysnąłem się w 62 Kompani Specjalnej, gdzie często sparowałem ze znakomitym **Zbyszkiem Michałowskim**, dzisiaj ochraniającym biznesmena **Ryszarda Krauzego**. A kolei w Dziwnowie, walkę wręcz prowadził Zenek Rzepiński, fascynat karate, wywołujący morderczymi ćwiczeniami na plaży odruchy wymiotne u swych podopiecznych. Wydobywał z ludzi ostatnie poty i był naprawdę dobry w tym co robił. Później, w Gromie, tworzyli z Leszkiem Drewniakiem niezły duet.

Z pobytu w kompanii specjalnej w Stargardzie, obok użerania się z politycznym, Kups zapamiętał doskonale szkolenie w walce wręcz: - Zebrałem na początku niezłą pakę, złożoną z ludzi, którzy w cywila trenowali rozmaite sztuki i sporty walki. Pociągnąłem ich za sobą i z czasem zaczęliśmy budować coś sensownego. Aż do chwili, gdy przełożeni dostrzegli „jakie to efektowne” i rozpoczęła się era pokazów. W Szczecinie zaś, ćwiczyliśmy techniki walki zawarte w instrukcji, łącznie z takimi elementami, jak ciche zdejmowanie wartownika. Wszystko to przekładało się to jakoś na praktykę, czuliśmy jednak, że czegoś nam brakuje.

#### Komandos w trampkach

Poszukiwania poza wojskiem rozpoczęli od ppłk. dr Krzysztofa Kondratowicza, którego znali z

publikacji w „Żołnierzu Polskim”. Dai shinhan dostał akurat korespondencyjnie 10 dan jiu jitsu goshin ryu z Okinawy i wydawał się autorytetem absolutnym. Jeździli do doktora na staże, studiowali książki, zacieśniali współpracę z podległymi mu mistrzami, najpierw z Witkiem a potem Danielem Głowackimi. Witek czuł się już prawie jak na etacie, wszędzie jeździł z kompanią, powoli zaczynał być w jednostce kimś w rodzaju rezydenta. Po paru miesiącach zaczęły jednakże narastać poważne wątpliwości. Kupsa załamał pokaz, do którego „kadrówka” wybiegła w kimonach, w trampkach i z karabinami. Porażka!!! Musieli sobie powiedzieć, że należą do zupełnie różnych światów, i nie jest to dla nich najlepsza oferta.

Mjr Kupsa zaprzecza, by kiedykolwiek odrzucił Jiu jitsu: - Nadal z niego czerpię. Nie można zlekceważyć tej sztuki, ponieważ są w niej korzenie wszystkiego co otacza nas w świecie walki, również walki realnej. Komercja, patrząc na dorobek brazylijskiej rodziny Gracie, szczególnie zaś sukcesy Royce Gracie podczas walk w klatce, nie zepsuła w tej dziedzinie wszystkiego. - Wraca do mistrza Krzysztofa Kondratowicza: - Doktor zobaczył w kaliskim więzieniu Combat 56 w robocie i chyba oczy mu się otworzyły. - Zaprosił wówczas Arka na staż do Nowego Dworu Mazowieckiego, gdzie kapitan miał dostąpić zaszczytu nominacji na pierwszy, czy awansem nawet na drugi stopień mistrzowski. Takie wyniesienie z pewnością mile połechało próżność naszego bohatera. Szczęściem dla jego przyszłości, kolegium mistrzów postawiło doktorowi ultimatum: Jeśli dopuści przybłądę do wspólnej michy, dotychczasowi współpracownicy podziękują. Ciśnienie na rynku było już wówczas potężne a wojsko stanowiło wielki tort urodzinowy do podziału. Dziś Kupsa nie ma wątpliwości, że dobrze się wówczas stało: - Mam wielki szacunek dla ludzi noszących pasy i kimona ale w moim przypadku, wyróżnikiem powinien pozostać mundur. Boks, zapasy, judo i dziesiątki, jeśli nie setki przeróżnych szkół, stylów i ich odmian, wywodzących się z Dalekiego Wschodu czy bliskiej Europy, systemów sprzed paru tysięcy lat, czy wynalazków ostatniej epoki, wszystko to jest dla mnie tworzywem. Z pełną świadomością idę na skróty, odrzucając to, co nie jest poręcznym i skutecznym narzędziem pracy.

Czasem na stażu, któryś z ekspertów zaczyna wyliczać: Ręce są trochę z boksu, ułożenie z Windsungu, nogi trochę z Tsunami... i jest zaskoczony, gdy mu przyznają rację. Ktoś inny mówi, że Josif Linder właśnie tak to robił. Oczywiście, ale Linder robił jeszcze trzydzieści innych technik. W końcu pada pytanie, a co w tym wszystkim jest moje? Moje jest odarcie tego z filozofii, z finezji, poskładanie w jedną całość i przygotowanie żołnierza, czy funkcjonariusza do pracy. Jakbyśmy wszyscy sobie powiedzieli - odrzucamy filozofię, odrzucamy komercję i szykujemy faceta do roboty, spotkalibyśmy się w tym samym miejscu.

### Złodziejstwo?

Teorię Kupsa potwierdza Robert, jeden z wychowanków combatu, dziś instruktor i funkcjonariusz formacji zwalczającej terroryzm kryminalny. Podczas szkolenia w legendarnym GSG-9 uczestniczył w prezentacji systemu walki w bliskim kontakcie, przeznaczonego jedynie dla służb działających w największym zagrożeniu: - Gospodarze zrobili trochę atmosferki - zamknięte i odizolowane od świata pomieszczenie, celebra wypuszczania dzina z amfory... Szybko zorientowałem się, że ich tajna broń niczym specjalnie nie różni się od naszego Combat 56. Złapałem zresztą parę niuansików, które bardzo się przydadzą ale nie wypadało mi popisywać się, ani też przechwalać, że robimy akurat to samo. Potem trochę żałowałem. Znając tych ludzi należało się spodziewać profesjonalnego podejścia, a nie zawiści czy obrazy. U nas, zaraz rusza wielkie targowanie, kto od kogo się nauczył, kto, komu, co zabrał. A z mojego doświadczenia wynika, że czerpiąc ze sportów oraz sztuk walki i upraszczając wszystko, sprowadzając do praktycznego, niezawodnego narzędzia pracy, w finale zawsze spotkamy się w tym samym punkcie.

Kups jest podobnego zdania: - Bo cóż można jeszcze wymyślić takiego, co by wszystkich zaskoczyło? Zapraszałem i zapraszam wielu speców najwyższej marki na staże. Tych, którzy zgodzili się na takie eksperymenty. Brakowało nam rąk i długo się zastanawiałem, w co te ręce ubrać. W końcu znaleźliśmy boks, który w podstawowej wersji jest niezbędny do dojścia do kontaktu, garda, lewy prosty i podstawowe kombinacje ciosów. A czasem przyjeżdżali i okazywało się, że to co proponowali, było nieprzydatne. Instruktorzy popatrzyli, poćwiczyli i powiedzieli – Sorry, dziękujemy. Ludzie z „trzydziestoma” danami a nikt nie chciał z nimi ćwiczyć, bo widzieliśmy, że to popelina.

Po raz kolejny broni się przed oskarżeniami: - Złodziejstwo? Jak tu rozliczać się z tym prawem własności, skoro techniki mają po parę tysięcy lat? Jeśli komuś coś zabrałem, to zabrałem od wszystkich i jeszcze będę zabierał, bo dopracowuję parter. Barbarzyństwo? A czym „zauroczyłem” doktora Kondratowicza w kaliskim więzieniu? Ludzie opowiadali jakie problemy mają z „osadzonymi”: Uczępił się osilek krat i w pięciu nie mogliśmy go oderwać. Poprosiłem, żeby najsilniejszy z nich złapał się za te kraty. A potem miał do wyboru – puścić kraty albo stracić jaja. Cała finezja.

Nie ukrywam, że z tego żyję. Gdyby oferowany towar nie miał wartości, zajmowałbym się pewnie zbieraniem makulatury albo innym, równie pożytecznym fachem. Instruktorzy combat sprawdzają wszystko na co dzień u siebie w robocie, w policji, w więziennictwie, szkoląc ludzi na bramki. Telefon ze Świnoujścia, słyszę znajomy ale złośliwy głos: Panie Arku, mam złamaną rękę ale żyję. We trzech mnie opadli. Żeby nie nasze patenty, pewnie musiałyby się pan wykosztować na kwiaty.

#### Bodyguard z pamperssem

Przed laty Przyjechali na staż Nadwiślańczycy. Nie chcieli ćwiczyć, woleli popatrzeć. Demonstrowali totalną zlewkę. Niemal zero kontaktu z tartanem (bo to w Spale było) i z ćwiczącymi. Szef zespołu tłumaczył, że nie mogą wchodzić w takie zabawy, bo na ulicy obowiązują ich procedury. Proszę sobie wyobrazić, tłum ludzi w eleganckiej dzielnicy a żołnierz siedzi okrakiem na napastniku i wpycha mu do głowy oczy albo ciągnie za penisa! Nie mogliśmy się porozumieć, bo zasada: lepiej żeby dziesięciu sądziło, niż czterech niesło, nie trafiała chłopakom do przekonania. Okrutna rzeczywistość szybko dopisała komentarz, gdy stracili żołnierza pod ambasadą Austrii. Facet, który zabrał wartownikowi broń, jeszcze kogoś potem nią skasował. Życie!

Co my w tych ludziach zmieniamy? Wbrew temu, co można by wywnioskować z „barbarzyńskiego” podejścia do technik, nie zajmujemy się czystą mechaniką ciała. Normalny człowiek może chodzić pięć lat na zajęcia a jak mu ten nóż przyłożą do gardła, to albo zrobi w gacie albo popełni błąd, i pożegna się z życiem. Na podstawie praktyki budujemy teorię. Nie z księżycy a życia. Walka kontaktowa, taktyka i strzelectwo stało się jednym, jedna postawa, jedne ruchy, wszystko w jednym schemacie. Dziś system jest szerszy niż kiedyś myślałem, to jest naprawdę szeroka dziedzina bezpieczeństwa. Powstał program „Bezpieczna szkoła i bezpieczny biznes”, przeznaczony dla grup szczególnego ryzyka. A także „Defensiv drive” dla tych, którzy mają dobre samochody i nie chcą, żeby ktoś je zabrał. Ostatni wariant przećwiczyłem parę lat temu, kiedy nająłem się do Prezesa jako absurdalne połączenie bodyguarda z kierowcą. W okresie najlepszej koniunktury na krojenie wypasionych bryk, eksportowanych potem do byłych radzieckich, jeździliśmy mercedesem pięćsetą na austriackich numerach. Musiałem wozić pampersa, bo jakbym wysiadł za potrzebą, całe miasto wlaźłoby mi do bryki. Co tam występy w telewizji. To był dopiero odlotowy spektakl, publiczność nie spuszczała mnie z oczu. Dla łatwiejszego zrozumienia moich stanów emocjonalnych dodam, że byłem wówczas bez broni.

## 2. Chłopak od Zawodowca?

Wojna, w której nie biorę udziału

Starzy, sprawdzeni „przyjaciele” co rusz karmią publiczność opowieścią o głupim Jasiu, czyli o Arkadiuszu Kupsie, który nie miał zielonego pojęcia o walce wręcz, szczęściem spotkał na swej drodze największego z wojowników i nauczył się wszystkiego. Fenomen wojny od lat toczącej się między Arkadiuszem Kupsem a Andrzejem Brylem polega na tym, że ten drugi dowiaduje się o jej przebiegu od osób trzecich, nie będąc wcale pewien, czy również jego „przeciwnik” w jakikolwiek sposób w niej uczestniczy. By opędzić się od natręctwa „kronikarzy wojennych” i podpuszczaczy gnieźdzących się stadnie na forach internetowych, wydaje się niezbędnym przedstawienie punktu widzenia „chłopaka od Zawodowca”.

O dr Andrzeju Brylu opowiedziałem Kupsovi po powrocie z Włóściejewek, z pierwszego obozu AURIS. Byliśmy tam wszyscy pod wielkim wrażeniem charyzmatycznego wojownika. Kogoś takiego nie było dotąd na polskiej scenie - budował własną legendę w wydawanym przez siebie „Super Komandosie”, na własnym poligonie organizował obozy dla twardzieli, prezentował niezwykle skuteczny system walki bez walki...

Kups mówi dziś o tym wszystkim z odrobiną goryczy i dużym niesmakiem: - Prawdą jest, że wówczas, w początkach lat dziewięćdziesiątych, Andrzej Bryl otworzył mi oczy, pokazał to czego szukałem. Faktem jest również, że przyjechał na poligon do Jaworza i skopał ludzi, nie dając im żadnych szans. Opowieści o konfrontacji można jednak w tym przypadku między bajki włożyć. Konfrontacja jest bowiem wówczas, gdy na wprost siebie staje dwóch ludzi, z zadaniem udowodnienia swojej wyższości. Ustawił oficera czy chorążego i zadał mu temat: Uderz mnie tą ręką z całej siły. A potem pokaleczył ludzi, powykrwawiał oczy, potłukł jądra... I zaraz prasa rozbębniła historie o straszliwych pojedynkach, o komandosach uciekających przed nim na drzewa.

Za ciasno było

W kolejnych wersjach książki „Zawodowiec” jeden z autorów napisał, a drugi za nim świadomie powtórzył, że jeździłem do Wrocławia by szkolić się u Bryla. Owszem, jeździłem... zarabiał pieniądze. Może to smutne ale prawdziwe, podobnie jak wielu innych żołnierzy zawodowych, nie byłem w stanie z monowskiej pensji zapewnić rodzinie godziwych warunków egzystencji. Dorabiałem sprzedając to, na czym najlepiej się znałem: na kursach dla agentów ochrony i dla Poczty Polskiej uczyłem ludzi strzelać, uczyłem pewnych zachowań w działaniach kryzysowych, technik interwencji, taktyki i techniki działania. Andrzej potrzebował wówczas kogoś, kto go uwiarygodni na zdobywanym obszarze. Rynek agencji ochrony dopiero się rodził, kontrahenci patrzyli nieufnie, korzystnie więc było mieć opinię specjalisty – szkoleniowca działań specjalnych. Zatrudniał już znakomitych gliniarzy, do kolekcji pasował mu również komandos. Sam był facetem ze sportów i sztuk walki, których się wówczas akurat wyrzekł.

Gdy zaproponował mi stałą pracę u siebie, gotów byłem przyjąć ofertę, bowiem jak niemal wszyscy wówczas, pozostawałem pod wrażeniem postaci. Szczęściem, pojechałem do Włóściejewek i zobaczyłem dzieło z bliska. Od 1988 do 1994 roku, jako szef szkolenia a jednocześnie dowódca, prowadziłem wszystkie zgrupowania okręgowe pletwonurków. Miałem wówczas na poligonie po 240 ludzi, zaś na obozie spadochronowym po 600, a nawet do tysiąca. Przygotowanie i realizacja obozu czy szkolenia dla kilkudziesięciu osób, nie przerastało więc moich możliwości. A we Włóściejewkach nie wszystko powalało mnie poziomem organizacyjnym... Obozy otworzyły mi oczy na wiele spraw, uświadomiłem sobie również, że jest tam za mało przestrzeni dla nas obu.

Miary dopełniła telewizja. Pewnego dnia na obóz przyjechał Jurek Małachowski z ekipą, kręcić

film o tym co się dzieje we Włoskiejewkach. Prowadziłem techniki interwencji, strzelanie, taktykę i coś tam jeszcze, w sumie mnóstwo zajęć. Andrzej Bryl był zaś patronem i wielkim szefem. A kamera tymczasem szukała akcji... i wyszło co wyszło. Jeśli chodzi o pojedynki, to ten, medialny, niezamierzenie wygrałem. Dziś jeszcze raz mogę podziękować za promocję ale nie tak miało być. I chyba wówczas zaczął się między nami kwas. Wierni kronikarze przy każdej okazji nadmieniają, że we Włoskiejewkach nauczyłem się systemu walki BAS 3. Ktokolwiek tam był, wie doskonale, że nie uczestniczyłem w prowadzonych przez Andrzeja zajęciach. Zresztą, z walki wręcz szkolił przeważnie Jasio Adamusik z Wrocławskiego AT, notabene instruktor jiu - jitsu. Każdy rzeźbił swoje i nie było czasu na żadne wspólne rekolekcje. Po prostu, poza trzema pokazami - na Jaworzu, w Szczecinie i w Lublińcu, nigdy nie pobierałem nauk u mistrza.

Konfrontacja?! Z pewnością była walką tytanów i musiałem niezłe oberwać, bo nic nie pamiętam! Fakt, we Wrocławiu na hali graliśmy w kosza, był wtedy Artur i paru ludzi. Nagle w czasie gry Andrzej zatrzymał zabawę i powiedział: Choć się trochę poprzewracamy. Rozłożyliśmy materac gimnastyczny. Jeśli mam traktować to jako konfrontację, no to gratuluję mistrzowi sukcesów.

### Tropiciele afer

Nie ukrywam, że kolejne ataki z tamtej strony napsuły mi sporo krwi. Pracuję z poważnymi firmami i ludźmi, funkcjonuję medialnie a przede wszystkim prowadzę staże Combat 56 i Selekcję, gdzie dla ludzi takie sprawy mają duże znaczenie. Nagle, „starzy przyjaciele” wyciągają na forum internetowym, że grę prowadzi wielki guru, który nie dość że nie ukończył selekcji Gromu, to jeszcze ukradł komuś jego sztukę, za co dostał należne mu bęcki. I dokładają tekst, że „zgasła gwiazda wielkiego komandosa”. Powiem szczerze, gwiazdą czułem się przez chwilę, gdy dyżurny kronikarz krasnal Chałabała opisywał w gazetach, jacy to niesamowici komandoski szkolą ludzi we Włoskiejewkach.

Czuję się tym wręcz zażenowany, bowiem dawno już wyrosłem z bicia się z chłopakami na przewracane. W szkoleniu pilnuję, żeby nie dokręcać niebezpiecznych technik do końca. Wystarczy przekonać ludzi, że to działa. Po co robić demonstracje i przy okazji powodować kontuzje? Po co konfrontacje? Jesteśmy w pracy a nie na turnieju Chana, zaś uczestnicy płacą pieniądze za rzetelny towar, a nie za okaleczanie. W sytuacji realnej, walcząc o własną skórę, zapominamy o bólu i automatycznie adrenalina włącza nam żywiołowe TURBO. Na treningu tego nie trzeba demonstrować na maksa.

Kiedy zapadła decyzja o rozwiązaniu 56 KS, jakby w geście pożegnania Telewizja Polska wyemitowała 30 minutowy reportaż o jednostce. W reportażu telewizyjnym poleciała na moją osobistą prośbę plansza, na której żołnierze 56 KS dziękują Andrzejowi Bryłowi za pomoc w szkoleniu. Nadmiar kurtuazji, bo ileż on nas szkolił i w czym pomógł? W Lublińcu, gdzie udało mi się go wkręcić na pokaz organizowany przez generała Józefa Chmiela, wszystko odbyło się podobnie. Bryl telefonował potem do mnie z pretensjami, że nie powiedziałem do kamery nic o nim. O czym? O tym, że skarcił oficera, który śmiał powiedzieć, że batalion szkoli się w podobnym systemie? Gestem przyjaźni wjechał porucznikowi kciukiem na tętnicę szyjną, przytrzymał chwilę i gość odjechał. Ludzie z Lublińca powiedzieli potem do mediów, że konfrontacja z Andrzejem Bryłem nie była taka straszna. Tego nie mógł darować. A ja mam pretensję sam do siebie, że pozwoliłem tak nami manipulować. Przecież bez mojego zapraszania na Jaworze, do Szczecina czy Lublińca nie byłoby w ogóle sprawy.

Kiedy powstawał i budował swoją pozycję Combat 56, nikt się nie czepiał, nie uzurpował sobie praw autorskich. Szum zrobił się w chwili, gdy odszedłem z wojska i marka zaczęła zdobywać rynek. Nagle okazało się, że jestem uczniem „Zawodowca” i zbudowałem system na bazie BAS 3.

Uczestniczyłem w trzech „pokazach”, więc musiałbym być wybitnie zdolnym uczniem. Oczywiście, w systemie znajduje się kilka dobrych patentów z tego źródła, i sto z innych. W sumie, nie mają większego znaczenia. Podobnie jak nie ma sensu porównywanie jednego czy drugiego systemu do zupełnie odrębnej Kraw Magi. Oczywiście słowa nie mają tu większego znaczenia, bowiem fachowcy błyskawicznie wychwytyją naleciałości z innych szkół, zaś tropiciele afer nadal będą siali propagandę, niezależnie od ich opinii.

Czołgi z tektury

Denis o straszliwym pojedynku z Andrzejem Brylem dowiedział się dopiero po opublikowaniu książki „Zawodowiec”. Zaskoczony był ogromnie, bo nawet pamiętał, że przywiózł gościa nyską propagandową do jednostki ale więcej go nie widział. Rzeczywiście, był duży i silny ale nie spodziewał się, że jego postać aż tak podziela komuś na wyobraźnię. Sam zresztą dałem się wpuścić w opowieść o pierwszym zetknięciu Andrzeja Bryla z komandosami 1 Batalionu Szturmowego, na mniej więcej dziesięć lat przed spotkaniem z Kupsem, którą wypominano mi potem latami. Poniżej prezentuję fragment tekstu mojego autorstwa, opublikowanego w „Żołnierzu Polskim”. Pierwsza część dotyczy spotkania Andrzeja Bryla z komandosami, w 1 Batalionie Szturmowym w Dziwnowie, druga jest relacją z Jaworza, gdzie przyjechał na zaproszenie kpt. Arkadiusza Kupsa.

\*

Denis! Denis!

Gość ma dwa metry wzrostu i ważył 120 kilo. Popatrzył na młodego Bryla: Ty chcesz nas czegoś uczyć synku? – prawie wrzucił go do nysy.

Na poligonie było sympatycznie. Świeciło słońce, dowódcy opalali się w modnych wówczas ciemnych okularach ze złotymi oprawkami. Liczyli, że jak chłopak nie dał się zastraszać na stacji, można będzie go zignorować na poligonie.

- Proszę, niech wyjdzie najsilniejszy.

- Denis! Denis!

- Idziemy na pełen gaz.

- Zaraz będziesz miał pełen gaz.

Człowieku, jeśli zmasakrowałeś trzech sycylijskich nożowników w Trapani, jeśli na promie do Tunisu sprawiłeś lanie zawodowemu bandycie „Ośmiornicy”, jeśli żyłeś w Afryce z walk a potem skoczyłeś ze skały w Monastyrze, wiedząc, że w zasadzie popełniasz samobójstwo... Jeśli do tego stoczyłeś bezpardonową walkę z samym Parkiem, i przez dwie minuty nie pozwoliłeś mu nic zrobić, to masz prawo sądzić, że nie znajdziesz na tej ziemi faceta, który mógłby cię wyeliminować z gry. Walka mająca przekonać ludzi do technik Bryl Andrzej System 2, wymagała pewnego rytuału. Najpierw należało przyjąć kilka ciosów, nawet od osiłka mającego już na wstępie 50 kilo przewagi, olewając jego atak. Następnie należało pokazać, jak zrobić to skutecznie.

Żyłasty olbrzym uderzył. Technika żadna ale był to cios siekiery, siła przełamała elastyczny pancerz mięśni i naruszyła żebra. Drugie uderzenie było zapowiedzią końca. Nikt do dziś nie wie, co wydarzyło się w następnej chwili. Denis zachwiał się, rozłożył ręce i runął na ziemię.

- Nie miałem mu już nic więcej do zaoferowania.

- Wynieść go, widocznie był kiepski – zdecydował major.

Za to w Sztabie Generalnym WP podeszli do sprawy ze zdrowym rozsądkiem: System jest dobry na wypadek wojny. Na razie schować do sejfu, bo zbyt niebezpieczny. Rzecz rozbiła się o honorarium. Bryl zażądał talonu na wartburga lub jakiegoś medalu...

W kilka lat później.

List kapitana Kupsa ze Szczecina Andrzej Bryl przyjął z pewnym zdziwieniem. Nie zakładał w swych planach (podejmowania ponownej próby – Ber) współpracy z wojskiem. Tekst świadczył

albo o desperacji, albo o braku rozsądku. Jak inaczej spojrzeć na fakt, że facet szkoli ludzi przez ileś tam lat i nagle zaprasza kogoś, kto ma udowodnić, że wszystko jest kaszana i trzeba zaczynać od początku?

Pojechał 400 km w jedną stronę na ten Poligon Drawski, chociaż termin nie bardzo mu pasował. Nie chciał rozmawiać o pieniądzach. Część kadry była w garnizonie, bo to sobota i niedziela, część gdzieś bokami się rozeszła. Na zajęcia z Brylem wyszła garstka ale za to najlepsi ludzie z plutonu kadrowego: Borys, Grzybek, Zygi, Grzesiek...

- Sypnij mi ile masz siły – Nie wiedzieli, że to się zawsze tak zaczyna. Borys uderza, najpierw nieśmiało, potem dwa ciosy które tyłu ludzi już zbliżyły z matką ziemią. Staje zdziwiony. Rozpoczyna się pierwsza lekcja. Nikt się nie spodziewał, że będzie tak niesłychanie prosta, bezpardonowa i bolesna. Zawodowy żołnierz przyjmie porażkę ale nie będzie brał udziału w spektaklu, w którym gra rolę ofiary. Ktoś przypuszczał, że to będzie jeszcze jeden pokaz, jakich setki dały „czerwone berety”.

Unik przed lufą pistoletu i uderzenie w krocze. Duszenie na krtań. Ucisk na gałki oczne. Chiński splot, gwarantowany uchwyt transportowy. Atak z przodu, atak z tyłu, kończące się alternatywnie uduszeniem lub złamaniem kręgosłupa. Jest krew, są łzy bólu.

- Czy pan przyjechał po to, żeby się nad nami znęcać?

- Nie. Tylko jak będę ci bajki opowiadał przy kawie, to mi nie uwierzysz.

- Andrzej, może to przerwiemy. – Kapitan Kups wiedział, że będzie mocne... Przestraszył się? Zwątpił w swoich ludzi?

- Czy zrozumieliście o co chodzi? Czy czujecie, że to są techniki skuteczne wobec każdego? Również wówczas, gdy zastosujecie je wobec mnie?

Rozmowa z Arkiem: - Nie wolno żołnierza wsadzać do czołgu z tektury i mówić, że ten pancerz go ochroni. Oni są już skaleczeni, w chwili granicznego bólu klepią w matę. Żołnierza może odwołać z walki rozkaz lub śmierć. Co robi, gdy stanie oko w oko z żołnierzem SAS czy Specnazu?

Niech ten żołnierz nie wikła się jakieś aikido, taekwondo czy rozwalanie głową cegieł na pokazach. Trzeba zmienić ich mentalność. W walce musisz wejść w przeciwnika. Może stracisz oko, może pękną ci żebra... Nie wolno bać się tego. Musisz być do pewnego stopnia szaleńcem i wiedzieć, że w końcu go dopadniesz, że będzie twój.

Na łamach „Komandosa”

Przewagi Andrzeja Bryla nad komandosami wysławiali nadworni kronikarze, wypisując bez skrępowania duby smalone i publikując krwawe fotografie, będące efektem wyrafinowanych sesji. Cywilne redakcje konkurujące o sensacje łykały wszystko jak pelikan, nawet nie próbując zastanawiać się nad sensem rzeczy. Odpór bredni dał jedynie Ireneusz Chloupek, ówczesny lider miesięcznika „Komandos”, autorytet fachowy i moralny w światku wojowników. Zaczynamy jednak od przytoczenia tekstu, współpracującego wówczas blisko z Andrzejem Brylem, dziennikarza Jacka Podoby.

\*

Polscy komandos – artykuł dyskusyjny

BEZRADNI JAK DZIECI

Dr Andrzej Bryl to ekspert walk Wschodu i szkolenia specjalnego, który od piętnastu lat szkoli komandosów policyjnych i wojskowych w zakresie bojowego systemu walki w kontakcie

bezpośrednim. BAS-3. stworzony na bazie utylitarnej wersji Taekwon-do i nawiązujący do standardów obowiązujących w brytyjskich i izraelskich jednostkach specjalnych, system Andrzeja Bryła został po raz pierwszy zaprezentowany w roku 1982 na pokazie w akademii Sztabu Generalnego. Ostatni pokaz na zorganizowanym w październiku ubiegłego roku w Lublińcu kursie dowódców pododdziałów specjalnego przeznaczenia był swoistym podsumowaniem dotychczasowej pracy dr. Andrzeja Bryła.

W Lublińcu, gdzie Andrzej Bryl przyjechał z jednym ze swoich „buldożerów” z Centrum Szkolenia specjalnego, Jarosławem Bielanem, mit o zawodowstwie naszych komandosów został brutalnie obalony. Kiedy żołnierze z grupy pokazowej w zakresie walki wręcz weszli na salę bez butów, w mundurach z podwiniętymi rękawami i nogawkami, Bryl powiedział od razu: „Ubierajcie swoje buty, bo nie zdążycie ich zdjąć podczas działań bojowych. Zapomnijcie również o macie, bo na polu nikt wam jej nie rozłoży. I przystąpmy do rzeczy”.

Niestety, żołnierze z grupy pokazowej, mimo wielkiego serca i zaangażowania, nie zaistnieli nawet jako partnerzy w walce w kontakcie bezpośrednim. Młody oficer z 62 Kompanii specjalnej z Bolesławca, który wyrwał się nagle ze swoją koncepcją systemu walki wręcz, zasłabł i zrezygnował z dalszej walki przy pierwszym wejściu w kontakt. Skąd zatem bierze się wysoka samoocena naszych komandosów? Skąd biorą się porównania z brytyjskim SAS-em czy rosyjskim Specnazem? Zdaniem Andrzeja Bryła, polscy komandosi, jeśli chodzi o umiejętności ogólnowojskowe, są znakomicie przygotowani i wyszkoleni. Ale w zakresie zwalczania siły żywej w kontakcie bezpośrednim – jak pokazują kolejne konfrontacje – okazują się bezradni jak dzieci. Są przede wszystkim zwichni mentalnie, boją się mocno uderzyć, walczą w konwencji sportowej. Tymczasem nawyki sportowe bardzo negatywnie wpływają na psychikę żołnierza, pozbawiając go woli walki do ostatniego rozstrzygnięcia. Badania przeprowadzone przez amerykańskich psychologów wojskowych wykazały, że 10 – 15 procent żołnierzy mających tego typu blokady psychiczne ginie w czasie działań bojowych na skutek załamania psychicznego.

Zawsze powtarzałem i powtarzam z całą stanowczością – mówi dr Bryl – że wina leży po stronie szkolących a nie szkolonych. To naprawdę wspaniali chłopcy o silnej motywacji i wspaniałej dyspozycji fizycznej. Ale oni są po prostu źle szkoleni.

Dziś cały świat zwraca się stronę utylitarnych systemów walki, opartych na technikach prymitywnych, brutalnych ale skutecznych, bo nastawionych na atakowanie tych części ciała, które u każdego człowieka są tak samo wrażliwe i słabe. Dlatego tak ważne jest kształtowanie psychiki i mentalności.

Komandos zaczyna walczyć w momencie, w których mistrz wschodnich sztuk walki traci zimną krew i wycofuje się, bo ograniczają go przepisy, konwencje walki czy po prostu instynkt samozachowawczy. Komandos, przeciwnie, powinien być bezduszną maszyną nastawioną wyłącznie na błyskawiczną neutralizację siły żywej. Oczywiście to nie może być kamikadze, ale jeśli dowódca powie mu, że ma przebić głową ścianę, to on bez chwili wahania musi rozpedzić się i wałnąć.

W zakresie bojowego systemu walki Andrzej Bryl szkolił m.in. 6 Dywizję Powietrzno – Desantową z Krakowa, Batalion Szturmowy z Dziwnowa i 56 Kompanię specjalną ze Szczecina. Skrzydła pozwolono mu rozwinąć tylko w 56 KS, opromienionej sławą najbardziej elitarniej jednostki specjalnej w Polsce. Zaproszenie Andrzeja Bryła było prywatną inicjatywą kpt. Arkadiusza Kupsa, pełniącego tam funkcję zastępcy dowódcy ds. liniowych. Gdy kpt. Kups pisał list – wyzwanie do Bryła, fachowcy uważali go za komandosa numer 1 w Polsce, a w programie telewizji szczecińskiej jego specgrupę nazywano „najlepszą kompanią specjalną w Europie”.

Kpt. Kups nie potrzebował tej konfrontacji. Miał więcej do stracenia niż do zyskania. Ale chciał wiedzieć, czy jego robota ma w ogóle sens, chciał wiedzieć jak daleko zaszedł. Zawsze żył w świecie, w którym każdy następny dzień ma sens tylko wtedy, gdy stanowi próbę pobicia rekordu z



dnia poprzedniego. Jeśli strzela, to celnie, jeśli biegnie, to dalej, jeśli uderza, to mocniej. Wszystkie rekordy kompanii, do której przyjmowani są najlepsi żołnierze ze wszystkich polskich oddziałów specjalnych, należały do niego. Musiał jednak sprawdzić, czy również jego żołnierze nie zawiodą, gdy przyjdzie co do czego. To, że pluton kadrowy kompanii tworzą żołnierze zawodowi, nie oznacza przecież, że tworzą go sami dowódcy.

Pokonując najlepszych ludzi z plutonu kadrowego 56 KS, Bryl podważył sens ich dotychczasowego szkolenia. Rozbici i pokrwawieni, wykazywali zdumiewający hart ducha. Gdy jednak jeden z żołnierzy zaczął uciekać w stronę lasu, Kups chciał przerwać jatkę. Ale w tym momencie Bryl był już jak rozpedzony buldożer... Gdy już było po wszystkim, Kups podszedł do Bryla i powiedział: „Dziękuję ci za ten zimny prysznic”.

Kilka tygodni później kpt. Kups przyjechał do Wrocławia, by doszkolić się w zakresie BAS-3 i poprowadzić zajęcia w Centrum Szkolenia Specjalnego. Słuchacze byli zafascynowani jego osobowością i perfekcją merytoryczną. Do tego stopnia, że obwołali go wykładowcą roku.

O systemie Bryla mówi się niekiedy, że jest zbyt brutalny i zbyt niebezpieczny, jak na obecne możliwości naszego wojska. Mówi się o tym jednak już ponad dziesięć lat. Z opracowanych na użytek Zarządu II Sztabu Generalnego WP informatora wynika, że BAS-3 jest prosty, skuteczny i łatwy do nauczenia. Oprócz treningu technicznego niekonwencjonalnych technik obezwładniania i fizycznej eliminacji przeciwnika oraz utylitarnych sposobów walki różnymi rodzajami broni palnej, bagnetem i saperką, obejmuje on również tak istotne w szkoleniu grup specjalnych elementy, jak teoria i praktyka strzelań na bazie sprzętu i wyposażenia armii obcych, szkolenie taktyczne w różnych warunkach terenowych i specyficzny trening psychomentalny, oparty w znacznej mierze na osiągnięciach współczesnej psychologii i socjologii.

Szkoleni w zakresie BAS-3 komandosi podkreślają jego wymierną skuteczność i merytoryczną komplementarność. W liście dowódcy 56 Kompanii Specjalnej kpt. Marka Demczuka do dr Andrzeja Bryla czytamy m.in.: Wyrażam jednocześnie nadzieję, iż w przyszłości będziemy mogli nadal liczyć na Pańską fachowość i doświadczenie w szkoleniu przygotowującym do służby w oddziałach specjalnych”.

Skąd zatem bierze się bariera niemożności szerokiego zastosowania BAS-3 w szkoleniu naszych komandosów i kto właściwie ją stwarza?

Jacek Podoba

\*

Polscy komandosi – polemika

## BEZRADNI JAK DZIECI?

Poziom wyszkolenia naszych żołnierzy daleki jest od ideału i nie da się temu zaprzeczyć. Pewne uwagi można mieć także do programu szkolenia najlepszych oddziałów polskiej armii, jakimi są jednostki specjalne i Brygada Desantowo – Szturmowa. Nie jest to jednak powód do kreowania legend o pewnych postaciach przy pomocy informacji krzywdzących żołnierzy w czerwonych beretach, z których wielu na miarę stwarzanych przez armię możliwości wkłada w szkolenie maksimum wysiłku.

Podczas pokazu technik dr Andrzeja Bryla w Lublińcu, trzymany od tyłu w niezbyt skomplikowany sposób instruktor zaprezentował błyskawiczne wyjście z sytuacji obezwładnienie przeciwnika. Z grona obserwatorów wystąpił więc podporucznik 62 Kompanii specjalnej i zademonstrował inny sposób unieruchamiania od tyłu przeciwnika, jaki nauczany jest w jego pododdziale, po czym puścił

partnera. Technika była profesjonalna i oswobodzenie się z niej nie byłoby już tak proste. W tym momencie zagrała urażona ambicja autora przedstawianego komandosom systemu walki. Wyprowadzony z równowagi dr Bryl podszedł do oficera i stwierdzając, iż zna jeszcze lepszy sposób, zastosował trzymanie z uciskiem na tętnice szyjne, które w ciągu kilku sekund doprowadza do omdlenia. Tak też się stało, tym bardziej, że w związku z pokazowym charakterem spotkania podporucznik stał spokojnie, nawet nie próbując się bronić. Świadcami tego zajścia było co najmniej kilkanaście osób. Tymczasem autor artykułu pt. „Bezradni jak dzieci...” opisuje jedynie fragment całej tej sytuacji, przeinaczając i komponując wyrwykowe epizody w sposób sugerujący, że komandos został niezwykle sprawnie pokonany w prawdziwej walce. Czyżby próba budowania image'u mistrza na niedomówieniach?

Zaproszony do 56 Kompanii Specjalnej w celu zaprezentowania swojego systemu walki Andrzej Bryl, podczas demonstrowania jednej z technik, zastosował pełniącemu rolę „modela” komandosowi ucisk palcami na gałki oczne. Podczas, gdy omawiał szczegóły pokazanych elementów walki, koledzy zwrócili uwagę partnerującemu mu żołnierzowi, że krwawi on z jednego oka, radząc, by udał się do dyżurującego lekarza. Komandos zwrócił się do obecnego na pokazie dowódcy kompanii o zezwolenie, a po otrzymaniu go udał się do po położonej niedaleko izby chorych.

Przypomnijmy, nie było żadnych walk, żołnierze wykonywali nakazane przez dr Bryła pojedyncze ciosy, chwyt i kopnięcia lub po prostu stali a gość demonstrował obronę przed zamówionymi atakami oraz kontrataki na nie broniących się partnerów. Natomiast w artykule Jacka Podoby możemy przeczytać o uciekającym w stronę lasu żołnierz, pokonaniu komandosów, jatce i rozpedzonym jak buldożer Brylu... wybujała fantazja? Zauroczenie sobą autora BAS-3, czy może celowe przeinaczenia?

To tylko dwa wybrane przykłady z wielu nieprawdziwych opowieści o „pogromcy” komandosów, ukazujących się również w innych czasopismach, z których szczególnie wart zauważenia jest zamieszczony w miesięczniku „Pan”. Autor opisuje m.in. walkę, jaką ponoć stoczył w Zakopanem (oczywiście zwycięsko) dr Bryl z oficerem batalionu Szturmowego z Dziwnowa, o nazwisku Kups. Któż, czytając o niesamowitym mistrzu sztuk walki zainteresowałby się tym, iż w owym czasie przeciwnika Andrzeja Bryla nie było w Zakopanem, lecz jako podchorąży szkoły oficerskiej przebywał we Wrocławiu, a do Batalionu Szturmowego trafił po raz pierwszy dopiero dwa lata później...

Czemu więc mają służyć wszystkie te pisane pod przykrywką troski o stopień wyszkolenia komandosów, opowiadki? Filozofia tych działań jest prosta. Sportowych mistrzów różnego rodzaju sztuk walki jest wielu. Znacznie większe zainteresowanie i dreszczyk emocji budzą ci, którzy trenują podobne umiejętności nie po to, by staczać walki przed sportowym jury, lecz aby - co tu kryć - w razie potrzeby fizycznie eliminować innych ludzi. Ten, który jest opisywany jako lepszy od nich - w polskim wydaniu od „czerwonych беретów” – pokonujący ich w walce a potem nauczający własnego stylu, nie może pozostać niezauważony.

Osobiście jestem pełen uznania dla niepodważalnych umiejętności dr Bryla w Taekwon-do i doceniam jak wielu komandosów opracowany przez niego system walki BAS-3. Mam jednak nadzieję, że opowiadki red. Jacka Podoby o spotkaniach Andrzeja Bryla z komandosami nie były wcześniej autoryzowane przez ich głównego bohatera, po skonfrontowaniu z rzeczywistością bardziej bowiem podważają jego autorytet niż przynoszą mu chwałę.

Wbrew treści tych artykułów dr Bryl nie szkolił nigdy polskich żołnierzy, z wyjątkiem dwóch treningów w 56 Kspec., a jedynie był zapraszany na wykonywanie pokazów swoich umiejętności. (Kilku „czerwonych беретów” zapoznawało się prywatnie z systemem BAS-3 u jego autora).

Tylko raz w czasie wizyt dr Bryla w armii odbywało się coś, co można nazwać walkami. Do 56 Kspec. Przybyło – wraz z Andrzejem Brylem – czterech jego uczniów, którzy w czasie pokazów

mieli stoczyć, ograniczony pewnymi zastrzeżeniami, sparing z kilkoma żołnierzami kompanii. Faktycznie wykazali oni skuteczność systemu BAS-3 – choć nie wszyscy.

Nieprawda jest, iż komandosi „boją się mocno uderzyć, walczą w konwencji sportowej”. Tak będzie zawsze podczas zajęć treningowych i pokazów, gdyż trzeba mieć świadomość otaczających realiów. Nie walka – aż do poważnego okaleczenia przeciwnika – jest celem tych spotkań – brak pewnych norm niejednokrotnie odmieniłby ich wynik. Z drugiej strony byłem niejednokrotnie świadkiem, że w sytuacji realnego zagrożenia (poza służbowo!) komandosi nie hamowali ciosów nie życząc nikomu konfrontacji z tymi „bezradnymi jak dzieci” wg. Jacka Podoby żołnierzami.

Warto też dodać kilka uwag natury ogólnej, które ludziom o tak ograniczonym wyobrażeniu na temat oddziałów specjalnych, jak autor artykułu „Bezradni jak dzieci...” skorygują nieco ich obraz. Niewątpliwie ideałem byłby komandos będący mistrzem wszechdziedzin. Oczywiście jest jednak, iż poza nielicznymi wyjątkami, komandos nie będzie strzelał tak celnie jak mistrz olimpijski, walczył wręcz jak osoba, która podporządkowała ostatnie kilkanaście lat życia treningowi karate, ani skakał na spadochronie jak wyczynowcy, z reprezentacji krajowej, a jeśli już to nie będzie tak dobry we wszystkim.

Komandos musi wykazać umiejętności ponadprzeciętne ale nie w porównaniu w do mistrzów wąskich dziedzinach, lecz do średniego poziomu żołnierzy armii. Sztuki walki to tylko jeden, istotny, ale nie najważniejszy element wyszkolenia w jednostkach specjalnych. Przykładem niech będzie fakt, że na 2,5 miesięcznym, osławionym kursie rangers na walkę wręcz przeznaczają się zaledwie 9 godzin. Stosowanie jej, nawet w działaniach specjalnych, jest ostatecznością. Bardzo rzadko zdarza się też konfrontacja żołnierzy wrogich oddziałów specjalnych. W czasie działań na tyłach nieprzyjaciela walczą oni z reguły z żołnierzami zwykłych jednostek, np. wartowniczych, żandarmerii, wojsk raketowych, itp. a w porównaniu z nimi umiejętności komandosów są więcej niż wystarczające.

Ocenianie polskich „czerwonych беретów” tylko przez pryzmat walki wręcz i poddawanie w wątpliwość ich zawodowstwa na tej odstawie przez red. Podobę jest, delikatnie mówiąc, pomyłką laika. Budowanie czyjejs popularności przez podważanie dobrej opinii o ludziach, którzy na nią od dawna zapracowali i robią to nadal – jest również nie fair.

Jeśli chodzi o sam system BAS-3 dr Bryła, to wprowadzenie go do programu szkolenia „czerwonych беретów” byłoby z pewnością cenne dla podniesienia na jeszcze wyższy poziom ich umiejętności w walce wręcz. W polskiej armii istnieje jednak powiedzenie przystające nie tylko do wojskowych realiów: „Znaj swoje miejsce w szyku”. Nikt nie podważa skuteczności BAS-3 ani umiejętności jego autora w dziedzinie sztuk walki, ale kwestię strzelania, taktyki, broni obcej, itp. lepiej aby pozostawił fachowcom, bo na tym polu mógłby się jeszcze wiele nauczyć od prawdziwych zawodowców z kompanii specjalnych.

Pan Andrzej Bryl pozostaje dla żołnierzy tych pododdziałów autorytetem, jeśli chodzi o system walki w kontakcie bezpośrednim. Szkoda jednak, że przez takie publikacje jak artykuły p. Podoby, krzywdzące żołnierzy, którzy zapraszali w dobrej wierze dr Bryła, jego zasługi bledną w cieniu różnych przekłamań i przeinaczeń.

Ireneusz Chloupek

### 3. Pokazówki

Rzeź „gladiatorów”

Wiedzano już wówczas oficjalnie, że kompanie specjalne idą pod nóż, tylko jeszcze nie wszyscy

chcieli się z tym faktem pogodzić. Przywieziono ich na ostatni występ, jakieś rocznicowe widowisko na płycie bydgoskiego „Zawiszy”, mające zakończyć się rzezią dokonywaną przez szczecińskich „gladiatorów”. Wprawdzie Kupsowe wojsko po raz kolejny usiłowało przemycić nowość rynkową, czyli techniki walki bez walki, jednakże odarty z realizmu scenariusz preferował hollywoodzkie elementy ze sztuk wojennych dalekiego i zamierchłego wschodu, połączone z budowlanymi akcentami grozy. Czujni przełożeni, z żelazną konsekwencją pacyfikowali niecne zamiary, wymuszając na komandosach kaskaderskie łamańce, salwę z kałaszy po tygrysim skoku z przewrotem, i technikę zwaną „wkurwienie murarza”, czyli rozbijanie głową płonących dachówek. Kobiety na trybunach mdlały, mężczyźni bili brawo, jedynie szweje spędzeni na rozkaz z dwóch okolicznych pułków – zabezpieczenia i łączności, odkąd zeszyły z płyty stadionu łaski z wojskowego zespołu folklorystycznego, zlewali wszystko totalnie, popijając cichcem surowo zakazane piwo. Nawet nie było się dla kogo wysilać ale komandosom tak już zostało, że jak coś robili, to do końca rzetelnie.

Biją się!

Patrząc na to żalosne widowisko, wierzyć się nie chciało, że jeszcze parę miesięcy wcześniej mieli daleko idące plany i wielkie nadzieje. Podczas poligonu wbili się jakimś cudem z prezentacją technik Combat 56 na pokaz nowych elementów uzbrojenia i techniki bojowej, prowadzony na Ziemsku, pośrodku Poligonu Drawskiego. W wyobraźni widzieli już posłów z Komisji Sejmowej Obrony Narodowej towarzyszących prezydentowi Lechowi Wałęsie, jak stoją z otwartymi ustami i ministra Janusza Onyszkiewicza udzielającego błogosławieństwa nowoczesnemu systemowi szkolenia. Podczas kolejnej próby, któryś z generałów rzucił przyjaźnie, że to nawet efektowne i powinno przełożonych zabawić, tylko dlaczego nie rozwalają cegieł i dachówek. Nie usłyszał już nawet uwagi, że jakby sam sobie tryknął baranka w pobliską sosnę, to też by brawa dostał. I wreszcie „nadejszła” uroczysta chwila... Znudzona dygnitarska trzoda krok za krokiem wlokła się od punktu do punktu, od samolotu do karabinu maszynowego, od czołgu do pocisku przeciwpancernego... I prelegent za prelegentem, major za pułkownikiem, w postawie zasadniczej wykrzykiwali dane taktyczno – techniczne kolejnej latającej miotły, uzbrojonej w inteligentną głowicę kierowaną sznurkiem. Znudzone śmiertelnie, porażone upałem stado zbliżało się do punktu: Pokaz taktyki specjalnej i efektywnego systemu eliminacji bezpośredniej... Przepraszam, wymyśliłem to teraz, bo nie pamiętam pod jakim tytułem miało przebiegać przygotowane przez komandosów mordobicie. Nagle, któryś z generałów spojrzął najpierw na zegarek, potem w stronę sztywniejących nieopodal żołnierzy przebranych za kelnerów: Panie prezydencie, panie ministrze, państwo posłowie, jesteśmy już odrobinę spóźnieni, proponuję przejdźmy prosto na kawę i skromny, żołnierski poczęstunek. Koryto wygrało! Ktoś nawet spojrzął w stronę lejących się już na ostro żołnierzy, desperacko usiłującej przyciągnąć uwagę gości: O biją się! Przyleciały jedynie jakieś dzieciaki, podobno ministra, i chciały pozabierać komandosom odłożone na skraju polany karabiny. A przy okazji, logistyka zaprezentowała wówczas cud techniki, mianowicie polowy sraczyk z pełnym wyposażeniem, łącznie z porcelanką, do którego zamaskowany żołnierz po każdym użyciu dolewał od tyłu wody z wiadra.

#### 4. Rozmowa o strachu

Najważniejsza reputacja

Czy się czegoś boję? Nieustannie wracające pytanie. Żołnierzy nie znających strachu odsyłaliśmy do psychiatryka. Tych zaś, których lęk niszczył, do safianów, na boczny tor. Strach i odwaga komandosa były regulatorami umożliwiającymi wykonanie najtrudniejszego zadania z zachowaniem granic bezpieczeństwa, utrzymywały w ryzach wszelkie działania.

Najbardziej boję się tych, którzy mogą zepsuć reputację idei, na którą pracuję od wielu lat. Nie zapraszam na szkolenia nikogo z ulicy, nawet z bardzo ekskluzywnej ulicy. Szkolę żołnierzy i służby. Niestety, w Tomaszowie żołnierze którzy zabili cywila, wcześniej chodzili na moje staże. Żołnierz z kawalerii, który siedział w pierdlu, był u mnie instruktorem. Dałem mu kwit, zezwoliłem na szkolenie. W Łodzi wywoził ludzi z miasta i łał ich. Podobnie nieciekawie zrobiło się również w Poznaniu. Odcinam się od takich ludzi.

Nawiązując z kimkolwiek współpracę, patrzę wnikliwie nie tylko na umiejętności ale i morale człowieka. Każda rysa na Combat 56 uderza bezpośrednio we mnie. Szkoląc ludzi dla poważnych firm i struktur, w kraju czy za granicą, nie mogę sobie pozwolić na łączenie mnie z jakimiś „szemranymi” instruktorami. Uprawnionych do korzystania z nazwy i szkolenia w systemie Combat 56, zawsze wymieniam na swojej stronie internetowej. Warunki? Wystarczy, że raz na dwa lata zaliczą egzamin. Za korzystanie z mojej licencji nie płacą ani grosza.

System wypromowałem sam, dziś zaś grupa ludzi nieuczciwie żeruje na nazwie i symbolach. Inni pododawali do słowa Combat różne cyferki i szkoląc w tradycyjnych sztukach walki, spijają soki, przy okazji kalecząc system, będący w przeszłości ich marzeniem. Przecież doskonale wiedzą, że nie można robić „combatu” bawiąc się w pasy i ukłony. Powstało nawet stowarzyszenie, które próbuje wykorzystać w całości nazwę Combat 56 zastrzeżoną w Urzędzie Patentowym. Zastanawiam się, czy w świecie ludzi dorosłych istnieje jeszcze coś takiego jak godność i uczciwość. Ciekaw jestem, jak się czują tacy ludzie patrząc przy goleniu w lustro.

System mordowania?

Zdarzają się kuriozalne przypadki, gdy ludzie robiąc tradycyjne sztuki walki opowiadają, że prowadzą szkolenie w bojowym systemie combat. Wyjmują bokeny i w dżdżokach z plamami uczą technik walki żołnierzy sił specjalnych. Ci z nas, którzy pamiętają narodziny systemu, dawno już o takich pomysłach zapomnieli. Oczywiście, chodzi o kasę ale zarabiać pieniądze za cenę ściemy, z której kiedyś razem się śmieliśmy? Na małym fiacie można zawiesić znaczek Mercedesa ale jest to zwykle nabijanie klienta w butelkę.

Szkoliłem ludzi z żandarmerii, kawalerii powietrznej, 6 BDSz, z więziennictwa w całym okręgu pomorskim, z ABW, CBS, policję celną, skarbową i Straż Ochrony Kolei. Wpadali na staże goście z Gromu i wcale nie po to, żeby się pośmiać. Szkoliłem również przeróżne formacje ochronne, w tym ochronę TVN, Impela, Factora...Od czasu do czasu prowadzę zajęcia poza krajem. Na tyle setek ludzi mam parę odprysków, i ich się boję.

Do combatu media przykleiły, że jest systemem do mordowania. Nie chcę budować wokół siebie aureoli mordercy. Mniejsze obawy budzą konsekwencje fizyczne tej zabawy bo kontuzje są wliczone w ryzyko. Mistrzowie często słyszą zarzut, że na pokazy i kursy przyjeżdżają ze swoimi partnerami. Przy twardych technikach jest to konieczne, bo co rusz trafia się jakiś ambitny osiłek, próbujący w trakcie nauki sprawdzić mistrza. A mistrz nie może odpowiedzieć tak, jakby to uczynił w walce, łamiąc facetowi żebra, rękę, czy wręcz eliminując gościa. I zbiera swoje. Każdy z nas ma jakieś pamiątki po uczniach, przynajmniej tak jak ja wielokrotnie połamane palce i rozbite łuki. Kiedyś z połamanym palcem, po zabiegu, zamiast odleżeć swoje pojechał na zajęcia. Cztery doby sypiałem po dwie, trzy godziny, brałem środki przeciwbólowe i z tym kawałkiem drutu wkręconym w kość, demonstrowałem techniki walki wręcz.